Lech Kańtoch

„Gdy Sobieski był sułtanem
Wtedy Bismarck z konia spadł
Osła napoili sianem
A ten dureń słomę zjadł”
Żartobliwy wierszyk szkolny

Teorią najazdu zasłynął niegdyś polski historyk żyjący w XIX wieku Karol Szajnocha. Był twórcą koncepcji najazdu normańskiego, który miał dać początek Polsce. Opublikował to w dziele Lechicki początek Polski. Uważał, że pierwsze państwo polskie powstało po podboju ludności miejscowej przez skandynawskie plemię Lechitów. To oni mieli być późniejszą szlachtą. Nie znalazło to jednak uznania historyków i potwierdzenia w faktach.
Natomiast można z pewną ironią postawić tezę, że obecnie rządzące Prawo i Sprawiedliwość dokonuje „podboju” Polski. Sięga tu do leninowskiego awangardyzmu, przekonania, że ludzie z jego partii najlepiej są w stanie zrealizować cele Prawa i Sprawiedliwości. Stąd przeprowadza „totalną demolkę” – czytaj: „dobra zmiana” kadrowa – niemal wszystkich sfer życia. Obejmuje ona wszystkich, którzy związani byli z PRL, ale i w III RP nie są członkami PiS.

„Żołnierze wyklęci” zamiast żołnierzy AK
Kluczową sferą jest historia, która zaczyna być „pisana od nowa”. To wszystko jest robione w myśl zasady George’a Orwella: „kto kontroluje przeszłość, ten ma władzę nad przyszłością”. Zamiana akowców na „wyklętych”, to najprostszy przykład. A równocześnie najbardziej drastyczny przykład to polityka historyczna, która jest szczególnie ulubioną sferą władz PiS. Stawiają się oni jako jedyni obrońcy polskości. W tej „narracji” przeszłość jest nierozerwalnie związana z teraźniejszością. Jednak by historia była użyteczna musi zostać poddana gruntownej rewizji i na nowo napisana. Lech Kaczyński był w pełni świadom zbrodni popełnionych przez oddział Kurasia „Ognia”. Ale ignorował je. Podobnie robią Jarosław Kaczyński, Andrzej Duda i Antoni Macierewicz.
Gdyby przynajmniej zaprzeczali, gdyby kłamali. Nie, oni tylko wzruszają ramionami: co z tego, że niektórzy „żołnierze wyklęci” byli mordercami i rabusiami? To nieważne. Liczy się nowy kult. Nie ma tu miejsca na żadne tam „niuanse”. Bo tacy i my jesteśmy. Potrzebujemy „swoich” bohaterów i ich mamy. Stąd pojawiają się opowieści o „żołnierzach wyklętych” zamiast mówieniu o Armii Krajowej.
Do tych opowieści dodaje się takie kawałki jak „przywracanie godności”, mówienie o konieczności „walki z pedagogiką wstydu”, czy napomykanie o „tych, których zdradzono o świcie”. Przy okazji eliminuje się niechciane fakty i postacie historyczne, a obudowę kraju i Warszawy traktuje jako „zbrodnię komunistyczną”.

„Wywracanie dziejów do góry nogami”
Wywołuje to liczne sprzeciwy społeczne. Co więcej, Polskie Towarzystwo Historyczne zorganizowało debatę na temat funkcjonowania historii w sferze publicznej. Odbyła się ona 10 grudnia 2016 r. w Sali Kolumnowej Instytutu Historycznego UW. Tak wielkiego zgromadzenia badaczy historii jeszcze nigdy nie było w ostatnich latach. W ciągu ostatnich 27 lat nastąpiło

odejście od historii uprawianej w czasach PRL. Odbyło się wiele dyskusji historycznych. Lewica była aktywna w obronie pewnych pryncypiów, ale została zdominowana. Jednak SLD nie udało się obronić zbyt wiele, bo „wybrano przyszłość". Natomiast obowiązująca historia najnowsza – inna od tej z PRL – zwłaszcza historia III RP została opracowana w ostatnich latach. Tak więc ta „narracja" głównie obejmuje II wojną światową, 1 września, Armią Krajową, Powstanie Warszawskie, a także powstanie „Solidarności" czy też czasy III RP. Nie doszło do proponowanej przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego dyskusji o PRL.
Jednak w tym samym czasie obok debat historycznych uprawiana była też „polityka historyczna", która zmierza do eliminacji roli polskiej lewicy, bądź jej zohydzenia. Nieliczni są historycy, którzy chcą w swych pracach zrozumieć skomplikowane dzieje PRL, a nie tylko traktować ją jako „czarną dziurę" lub ją totalnie potępiać.
Myślenie Prawa i Sprawiedliwości o historii „żołnierzy wyklętych" jest myśleniem mitotwórczym. Nie jest myśleniem w kategoriach procesu historycznego, ani realiów polityki. To przypomina wyrywanie z wielkiej księgi dziejów niektórych nieprzydatnych dla nich kart i wstawianie na ich miejsce nowych. Jest to – mówił prof. Andrzej Friszke –„wywracanie dziejów do góry nogami". Tak ma wyglądać „polityka historyczna" Prawa i Sprawiedliwości. Ma ona zaspokajać gusta. Zdobywać poparcie przez fałszowanie naszych dziejów najnowszych. Epatować katastrofą smoleńską prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Nie mógł on – zgodnie wymogami PiSowskiej doktryny – zginąć w banalnym wypadku lotniczym, w wyniku wielkiego partactwa organizacyjnego i błędów lotniczych. On musiał „polec" w spisku uknutym przez krajowych wrogów wspólnie z zagranicznym mocarstwem 10 kwietnia 2010 r.
Lech Kaczyński był powszechnie znany w Polsce. To działacz średniego szczebla „Solidarności", o niebyt wielkim dorobku naukowym. Robienie z niego kogoś większego, „największego prezydenta w dziejach" czy przypisywanie mu zasług, których nie miał, najzwyczajniej tylko go ośmiesza. Z „żołnierzami wyklętymi" jest trochę inna sprawa. Ci z AK mają swe miejsce w historii. Ale wielu z „wyklętych" uprawiało zwykłą „bandziorkę" na terenach wiejskich. O tym czytamy w raportach z Polski amerykańskiej Centralnej Agencji Wywiadowczej z lat 1945-1948. Ich nazwiska do dziś są w pamięci sąsiadów. Tylko niektórzy zasługują z nich na pamięć, bo część z nich była mordercami ludzi z lewicy (w tym kobiet i dzieci) czy działaczy mikołajczykowskiego Polskiego Stronnictwa Ludowego.

„Kłamstwo z premedytacją"

Na konferencjach w Jałcie i Poczdamie Wielka Trójka zadecydowała o losie Polski. Marzenie o III wojnie światowej i generale Andresie powracającym do Polski na „białym koniu" było myśleniem życzeniowym. Dowodziło tylko naiwności. Ci, którzy wówczas szli do lasu musieli to brać pod uwagę. Wielu z lasu wyszło, tak jak Lech Beynar, znany lepiej jako Paweł Jasienica. Odszedł on z oddziału „Łupaszki" – był jego adiutantem – i został znanym historykiem. Jego walkę o prawdę historyczną opisał znakomitym tekście „Lekcja historii według Pawła Jasienicy" Arkadiusz Kierys w „Ale Historia" dodatku do „Gazety Wyborczej".
Ranny po jakiejś akcji bojowej przeczytał tekst w „Tygodniku Powszechnym" i postanowił pojechać do Krakowa. Znalazł swoje tam miejsce, na łamach nie krył swych doświadczeń i obserwacji z partyzantki, zwłaszcza że każda konspiracja się degeneruje. Pisał o tym: „podziemie w sposób nieunikniony musiało się aż do granic degenerować. Ku końcowi swego pobytu w lesie bardzo wyraźnie odczuwałem stopniowy zanik hamulców moralnych".
Paweł Jasienica uznał, że „Tygodnik Powszechny" ma moralne prawo mówić o bezsensie konspiracji. Uważał, że młode pokolenie dało podczas II wojny światowej wystarczająco wiele

patriotyzmu i bezprzykładnego poświęcenia. Nie może podjąć tym razem bezsensownej ofiary. Tymczasem zaś wszelka działalność konspiracyjna musi wywołać reakcje ze strony tego, przeciwko któremu jest skierowana – pisał Jasienica. Wszystko jedno jaki to będzie rząd – każdy bowiem musi tępić wrogą sobie konspirację. Ofiary są więc nieuniknione, a represje spadają na najbardziej zdeterminowanych, częstokroć najwartościowszych pod względem charakteru.
Później – w latach sześćdziesiątych – Paweł Jasienica stał się jednym z najpoczytniejszych eseistów historycznych w Polsce. Był w opozycji do oficjalnej historiografii, według której masy kształtowały losy świata. W jego przekonaniu istotą historii jest człowiek, a nie walka o dobra i środki produkcji. Historyk ma też pisać prawdę, nawet tę bolesną, nawet o zamordowaniu 1400 bezbronnych jeńców ruskich przez żołnierzy hetmana Tarnowskiego. Zarzucał pomijającym tę zbrodnię, że nie podejmując takich problemów to prowadzą tzw. politykę historyczną. Naginanie historii do potrzeb politycznych nazywał kłamstwem z premedytacją, niezależnie pod tego kto to robił: krajowi komuniści czy londyńska emigracja.

„Pesymizm błędnych tez”
Drogę rzetelności i prawdy w historii wybrał też Henryk Wereszycki, historyk-socjalista, legionista, przed wojną pracownik Instytutu Józefa Piłsudskiego, podczas wojny w obozie jenieckim w Woldenbergu. Gdy doszła do jeńców wiadomość o końcu wojny nie wahał się odpowiedzieć Adamowi Rapackiemu. Powiedział krótko: „do kraju, do historii”.
Czas późniejszy spędził znakomicie. Napisał „Dzieje polityczne Polski w dobie popowstaniowej 1864-1918”, gdzie opisał m.in. rolę Polskiej Partii Socjalistycznej w tym okresie. To stało się przyczyną wielu problemów. Najpierw kłopoty miał Władysław Gomułka, który przeczytał książkę przed Plenum KC PPR w 1948 r. i pochwalił książkę. Później kłopoty miał sam autor. Na ogólnopolskiej konferencji metodologicznej historyków polskich w Otwocku (początek 1952 r.) panowała atmosfera lynchu wobec profesora Henryka Wereszyckiego, który krytycznie odnosił się do wciskania na siłę prymitywnego marksizmu i leninizmu jako podstawy metodologicznej nauk historycznych. Kryterium ogłoszonym na konferencji otwockiej była partyjność nauk historycznych. Zaangażowanie po stronie nowego ustroju, głoszenie chwały mas, przeciwstawianie się dawnej personalistycznej historii królów i jednostek. Spychano w cień rolę polskiej inteligencji i elit narodowych. Wzywano do „czujności politycznej”, wiele mówiono o „zaostrzającej się walce klasowej”.
Profesor Wereszycki został potępiony na konferencji otwockiej. Miał złożyć „samokrytykę”, do czego go namawiało kilka znajomych. Wygłosił natomiast kilka ogólnych zdań, że pisząc „Historię Polski” nie znal prac teoretycznych Lenina. Tymczasem on marksizm znał jeszcze z młodości od takich socjalistów jak Mikołaj Hankiewicz i Bolesław Limanowski.
Nie oznaczało to rezygnacji profesora Wereszyckiego od postawienia wymogów jakie powinna spełniać nauka historii. Zrobił to w dwóch tekstach: pierwszym w 1957 r. „Pesymizm błędnych tez”, w drugim w 1958 r. w referacie o polskich powstaniach narodowych na zjeździe historyków w Krakowie. W pierwszym za całkowicie błędne uznał ocenianie przeszłości historycznej miarą aktualnej sytuacji. Wybijał prawdę podstawową i oczywistą: wszystko musi być ocenianie w danym kontekście historycznym (...) Zjawiska historyczne muszą być ocenianie wedle miary tego czasu i miejsca w których się dokonały.

„Historia na nowo PiSana”
Do zupełnie innej generacji należy profesor Andrzej Friszke, wybitny specjalista historii

najnowszej. Ma on ogromny dorobek i wielkie doświadczenie, bo z bliska obserwował powstanie „Solidarności” i napisał na ten temat kilka książek. Wielokrotnie przypominał, że w latach dziewięćdziesiątych XX wieku toczyły się dyskusje na temat PRL, opozycji demokratycznej i Solidarności na łamach „Tygodnika Powszechnego”, „Gazety Wyborczej” czy „Więzi”.
Ze swej strony muszę dodać, że lewica również nie zasypiała gruszek w popiele, ale kluczowe problemy przeszłości, zarówno II wojny światowej, tworzenia i etapów PRL, stanu wojennego, Okrągłego Stołu, czy transformacji ustrojowej i samej III RP były podejmowane w takich tytułach jak „Trybuna”, „Przegląd Tygodniowy” – później – „Przegląd”, „Przegląd Socjalistyczny” czy „Dziś”, nie zapominając o „Polityce”.
Należy do zdecydowanych przeciwników polityki historycznej i z tych pozycji występował na zgromadzeniu badaczy historii 10 grudnia 2016 r. w Instytucie Historii Uniwersytetu Warszawskiego. Uważa on, że ta wizja historii jest taka prostacka, że dla profesjonalnego historyka – ale nie prezydenta Andrzeja Dudy – wprost nie do wytrzymania.
Dzieje ludzkie – mówi prof. Friszke – nie mogą się tylko składać z bohaterów i zdrajców, brak natomiast barw pośrednich. Jest to adresowane do najprymitywniejszego elektoratu. Zaskakuje, że taką wersję historii formułują i realizują ludzie z kierownictwa Prawa i Sprawiedliwości. Nie można też sprowadzać czasów PRL do pierwszego dziesięciolecia (1945-1956) i stanu wojennego, w sumie do uproszczonego systemu totalitarnego. Obrazy twardego stalinizmu, kultu jednostki, szalejącego UB, pełnych więzień a lasów pełnych „żołnierzami wyklętych”. Obraz uzupełniał Grudzień oraz stan wojenny. Nic to nie mówi o rozwoju społecznym Polski. Tymczasem nasz kraj odziedziczył po zaborcach i II RP zacofanie oraz 5 milionów ludzi nazywanych „zbędnymi”. Mieszkali oni głównie w obszarach wiejskich. Stanowili oni 80 procent społeczeństwa. Ci obywatele zostali z minimalnym stopniu wcieleni do społeczeństwa, ale później stali się ofiarami transformacji, zwolennikami „rządów silniej ręki”. Obecnie są słuchaczami Radia Maryja i wyborcami PiS.
Propaganda PiS celowo zapomina też o II wojnie światowej, zniszczonym kraju, a później o potrzebie zagospodarowania Ziem Odzyskanych. To wszystko ktoś musiał zrobić, jakoś podnieść z ruin i dać ludziom pracę. Stąd małe zakładziki przemysłowe w niemal w każdej miejscowości i przeludnione PGR-y. Stąd w PRL – po przełomie jakim był Październik 1956 – powstało normalne społeczeństwo. Ludzie mogli się kształcić, a później to oni – w czasach przełomu solidarnościowego – odegrali rolę założycieli III RP. Obecnie są oni przedmiotem „czystek” i podlegają teraz wymianie na ludzi z PiS. Tak jak w IPN, gdzie ostatnio usunięto ludzi, którzy zajmowali się badaniami nad Jedwabnem czy pogromem kieleckim.

Mroczne perspektywy

Polska opozycja jest niezwykle słaba. Wskazują to stale spadające notowania sejmowych partii politycznych, a lewica jest niemal bez głosu, bo poza Wiejską. Największy przeciwnik PiS – Platforma – jest atakowana przy okazji manifestacji smoleńskich. Smoleńsk ma nie tylko mobilizować zwolenników PiS przeciw Platformie, ale niszczyć legitymację III RP. Miesięcznice mają usunąć ze świadomości społecznej oczywistą wiedzę o faktycznych przyczynach katastrofy: kiepskiej organizacji całokształtu lotu przez Kancelarię Prezydencką, nie mówiąc o fatalnych warunkach atmosferycznych, wyłącznie po to, by tam w Katyniu Lech Kaczyński rozpoczął kampanię wyborczą. A po katastrofie w Smoleńsku zaczęło się lansowanie mitu o Lecha Kaczyńskiego, który miał kierować „Solidarnością” i o tym jak to on pokonał komunizm. Jednak prawica nie ogranicza przebudowy pamięci historycznej Polaków do kwestii

smoleńskich, ale zmierza do zmiany rocznic. 4 czerwca 1989 r. nie jest godną upamiętnienia, bagatelizuje się sukces Solidarności w przemówieniach Kaczyńskiego i Macierewicza. Obaj wygłaszają „pogadanki historyczne", których celem jest Lech Wałęsa jako twórca niepodległej III RP. Jego miejsce mają zastąpić oni sami oraz Lech Kaczyński. Sięgają do mitologicznych opowieści. Genetycznymi Polakami mają być przede wszystkim bracia Kaczyńscy. Co więcej, oni zgodnie z „Wielką Genealogią" opracowaną przez historyka Marka Jerzego Minakowskiego mają wywodzić się z pierwszych Piastów: Mieszka I, Bolesława Chrobrego i Bolesława Krzywoustego. Jeśli ktoś w to nie wierzy – to jak komentowała osiem lat temu prawicowa gazeta – wystarczy stwierdzenie, że „oni mają władzę w genach".
Jarosław Kaczyński mówił na uczelni ojca Rydzyka o swym otoczeniu sprzed lat jako o „małej grupie, która po 1989 r. walczyła na rzecz polskiej suwerenności i w obronie polskiej tożsamości", dlatego można ja porównać „z żołnierzami wyklętymi, bo byli kontynuatorami ich walki".
Nie ma złudzeń co celów obecnej polityki historycznej PiS prof. Andrzej Paczkowski. Jego zdaniem „zastępowanie 4 czerwca 1989 r. przez noc teczek, podobnie jak wypychanie Wałęsy z historii Solidarności jest sposobem delegitymizowania III RP polityką spalonej ziemi, na której wszystko będzie można zbudować od nowa".
O bezwzględności rządzących świadczy likwidacja świeżo otwartego a już likwidowanego Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. Profesorowi Pawłowi Machcewiczowi zarzucono „pacyfizm" i nie wydobycie roli wojny jako „okazji do wychowania młodych Polaków, nauczenia ich pomysłowości i heroizmu". Ten sposób patrzenia na wojnę uznał były dyrektor Muzeum jako nawiązujący do nazistowskich koncepcji wychowawczych. Pod władzą Jarosława Kaczyńskiego – mówi prof. Machcewicz – żaden pluralizm w badaniach i prezentowaniu historii nie jest możliwy. Świadczy o tym choćby przejęcie przez PiS Instytutu Pamięci Narodowej i likwidacja Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku.
Można postawić pytanie dlaczego Jarosław Kaczyński forsuje najbardziej radykalną wersję historii? Z jednej strony chce usunąć z dziejów zasłużonych działaczy opozycji, z drugiej chce dać pole różnym oportunistom, ludziom trzeciej kategorii, którzy nic nie znaczyli w procesie przemian za to potrafią być bardzo aktywni i radykalni obecnie. Oni chętnie wykażą się radykalizmem i krytyką PSL, PPS czy Mikołajczyka lub pierwszej Solidarności za „miękkość" wobec komunistów. To rodzaj wyrzutów sumienia za to, że w przeszłości, gdy „wiał wiatr historii" – jak kiedyś pisał Konstanty Ildefons Gałczyński – „to im trzęsły się portki". I nawet w strachu przespali wprowadzenie stanu wojennego 13 grudnia 1981 r.

„Polska jest jedna"

To hasło przewodnie jednodniowego kongresu PiS w Przysusze, gdzie prezes Kaczyński nakreślił swą wizję Polski. Jest to zapowiedź ofensywy, całkowitego przejęcia państwa przez Prawo i Sprawiedliwość. Przejmowane są przez swoich kolejne instytucje, równocześnie zapowiedziano „rewitalizację inteligencji", a więc narzucenie bardziej rygorystycznych wymagań formy co do formy i treści. Ma to być chyba pogłębiony Kato-nacjonalizm, wykluczający każdą krytyczną refleksję o Polsce, w pełni godny nazywania siebie genetycznymi polskimi patriotami.
Prezes wszystkich prezesów powiedział coś co zabrzmiało groźnie, a czego nie skomentowali dziennikarze. Wymieniając trzech ministrów reprezentujących tzw. „pas transmisyjny" przypomniał o „potrzebie czujności". Żachnął się przy tym, że to dziwnie zabrzmiało. Tak jakby starsi mieli jakieś wspomnienia. Trudno powiedzieć, czy miał to być żart czy pogróżka wysunięta wobec tych, którzy jeszcze myślą inaczej niż Przywódca Narodu.

Lech Kańtoch